Nr. 96. Kraków, Czwartek 9 Kwietnia 1891. Rocznik III.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie:
miesięcznie **1** złr., kwartalnie **3** złr., półrocznie **6** złr., rocznie **12** złr.
Za odnoszenie do domu dolicza się **15** cnt. miesięcznie.
Na prowincji i w całej monarchji Austro-Węgierskiej:
miesięcznie **1** złr. **35** cnt., kwartalnie **4** złr., półrocznie **8** złr., rocznie **16** złr.
Numer pojedyńczy **6** cnt.

KURJER POLSKI

wychodzi codziennie, a więc i w niedzielę, o godz. 8 rano.

Cena ogłoszeń:
Za wiersz petitowy, lub jego miejsce za pierwszy raz **10** centów, za następne po **5** centów. — Drobne ogłoszenia zwykłym drukiem po **2** cnt. od wyrazu, tłustym drukiem po **5** cnt. od wyrazu. Minimum ceny drobnych ogłoszeń **25** cnt. „Nadesłane“ **20** cnt. od wiersza.
Adres dla telegramów:
„KURJER“ — KRAKÓW.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: ulica Szewska Nr. 7, I. piętro.

Nasze rękodzielnictwo.

V.

Przedstawiwszy poprzednio obawy, że rękodzielnictwo nasze przez fundację p. Hirscha może nietylko rzeczywiście ucierpieć, ale stać się zależnem od tych miljonów i dotychczasowy zakres jego działalności przejdzie pod władzę żydowską, nie dosyć jest narzekać, nie dosyć szafować frazesami, ale należy zastanawiać się trzeźwo, spokojnie, czy obrona własnych interesów nie jest tu możebna?

Omawiając niejednokrotnie tę nagłą sprawę w gronie ludzi rzecz rozumiejących, zawsze przychodziło się do jednego i tego samego wniosku. I tak:

Rękodzielnictwo nasze ma przedewszystkiem obowiązek wnijść samo w siebie i uczynić ze samym sobą — że tak się wyrazimy — rachunek sumienia.

Czy postępowanie jego dotychczasowe i cały kierunek działalności, licowały i licują z temi warunkami, które u nas w kraju są niezbędne i konieczne, aby służyły za tarczę ochronną przeciwko obcemu najazdowi, który wszelką pracę i korzyści z tejże usiłuje wydrzeć z rąk naszych?

Otóż taki rachunek sumienia, możemy już z góry powiedzieć, nie będzie nas mógł rozgrzeszyć, bo nie jesteśmy bez winy. Wprawdzie warunki naszej pracy rękodzielniczej były i są nader trudne; pomimo to, mamy przed oczyma mnóstwo dowodów, że przy silnej woli i wrodzonem uzdolnieniu naszych rękodzielników, można się bronić skutecznie i nie dopuszczać do zawojowania z taką łatwością, z jaką się to dzieje. Przyznajemy nawet naszemu rękodzielnictwu słuszne prawo do pewnego rodzaju monopolu w zbywaniu wyników pracy i że to rękodzielnictwo słusznie żąda od własnego społeczeństwa, aby je popierało, chociażby społeczeństwo polskie i ruskie, nie w znaczeniu jednostek, ale ogólnem, miało ponosić pewne ofiary, zważywszy, że dobrobyt naszego rękodzielnictwa — to dobrobyt kraju i narodu.

Do takiego poparcia może mieć nasza rodzima praca tylko wtenczas prawo, jeżeli nawzajem zrozumie słuszne wymogi ogółu i strzedz się będzie wszelkiej niesumienności i wyzyskiwania tych, którzy za pracę płacą.

Rękodzielnik, który dlatego, że jest Polakiem lub Rusinem i występuje jako patrjota, twierdzi, że pod tem hasłem wolno mu za pracę swą stawiać nawet najwięcej wygórowane żądania, ma poglądy bardzo mylne. Takiego fałszywego blichtru patrjotycznego nie jest obowiązanym nikt popierać. Nie mamy tu na myśli czynić zarzutu całemu naszemu rękodzielnictwu, gdyż w znacznej liczbie już pojmuje ono swoje posłannictwo i rzeczywistą własną obronę. Pomimo tego, uczciwi nasi rękodzielnicy nie mogą zaprzeczyć, że istnieje jeszcze cała legja takich, którzy nie liczą się z jutrem i z własną przyszłością; którzy tylko na dziś, na jedną chwilę, usiłują bezwzględnie, wbrew wszelkiej uczciwości, wyzyskać tych rodaków, którzy rzeczywistem patrjotycznem uczuciem powodowani, do nich się udają z chęcią kupna.

Ileż to moglibyśmy wyliczyć codziennych wypadków, w których rodak, zamawiający wykonanie pracy u rodaka rękodzielnika, pomimo przyrzeczenia tegoż i zapłaty sumiennej, otrzymuje w zamian najnieuczciwsze, rozmyślnie dokonane partactwo, a gdy przeciw temu protestuje, naraża się na nieprzyjemności, graniczące często z publicznym rabunkiem.

Czy wobec takiego postępowania, można się dziwić i brać za złe, że nawet ci, którzy do głębi duszy przejęci są poczuciem patrjotycznem, zrażeni i poszkodowani, zaopatrują się następnie w potrzeby swe u obcych? Bądźmy więc szczerzy i otwarci i przyznajmy, że to jest ten rak, który toczy a nawet zabija ruch i dobrobyt rękodzielnictwa w kraju. Jeżeli którykolwiek z naszych rękodzielników, chciałby na to odpowiedzieć, że i odbiorcy również usiłują wyzyskać naszego rękodzielnika właśnie dlatego, że jest Polakiem czy Rusinem i że u niego nabywają, aby oddawał swą pracę niżej cen wyrobów obcych — jeszcze go to nie usprawiedliwia, bo zawsze znajdzie zbyt na pracę dobrą i sumienną a nareszcie i obronę przeciwko takim wyzyskiwaniom.

Chcąc wszelką pracę uczciwą zszeregować i uwydatnić, mają ku temu władzę zupełną dzisiejsze Izby rękodzielnicze, które nie na papierze tylko, ale w rzeczywistości, w czynie, powinny być równocześnie trybunałami sprawiedliwości i najsurowszą kontrolą wszystkich korporacyj. Izby rękodzielnicze mają prawo, a zarazem obowiązek, nietylko obronę członka korporacji ale i społeczeństwa. Wiele spraw nie powinny się jedynie załatwiać przed forum urzędów policyjnych i sądów lub władz magistrackich, jak to się dzieje szczególnie po mniejszych miastach, ale winny być rozpatrywane, bronione i karane w Izbach rękodzielniczych. Jeżeli takie postępowanie stanie się dla społeczeństwa widomem, dotykalnem — wtenczas rękodzielnictwo nasze mieć będzie prawo nietylko do poszanowania, ale i do powszechnego poparcia oraz obrony.

Że dziś rękodzielnik nasz, aby mógł rywalizować z obcą konkurencją, powinien przedewszystkiem starać się o odpowiednie wykształcenie, o tem nie potrzeba nawet mówić. Myśl tę, popierają Sejmy i władze krajowe; to też nasze szkoły rękodzielnicze, jakkolwiek jeszcze niezupełnie odpowiadają zadaniu, znacznie się zmieniły na lepsze. Czy zaś wobec tego faktu, rękodzielnictwo nasze pojmuje, chociażby w znacznej większości tylko, doniosłość i konieczność tych szkół — to rzecz znowu inna. Niestety! tak się nie dzieje, gdyż wyliczyć można całe szeregi nietylko starych, ale i młodych zacofańców, dla których pióro i książka są najwstrętniejszem narzędziem. Gorszy ich też obowiązek posyłania ucznia z warsztatu do szkoły wieczornej; lekceważą wszelkie przepisy w tym względzie, a chociaż sam uczeń odczuwa potrzebę nauki i rwie się do takowej, pan majster nie wybiera w środkach, aby go od niej usunąć. Czy takie postępowanie, wobec dzisiejszych prądów, nie zniechęca, nie rozgorycza ku chlebodawcy i nie uczy lekceważyć pana majstra? Otóż i w tym kierunku Izby rękodzielnicze i przełożeni korporacyj, powinni pilnować ściśle tego, co się przyczynia do wykształcenia młodszego pokolenia. Rękodzielnictwo nasze, pozyskawszy wśród siebie poszanowanie dla tych kardynalnych praw, przystąpić powinno do dalszego rozglądu, czy praca, jaka się odbywa po warsztatach, jest odpowiednią dzisiejszemu pojęciu i czy może już konkurować z wyrobami innych krajów? Mamy tu także na myśli podział pracy, i zaprowadzenie oszczędności czasu, który stoi na równi z wagą złota.

W ostatnich latach słyszymy i czytamy żądania prawie wszystkich robotników, aby praca dzienna zniżoną została do 10-ciu, a nawet ośmiu godzin. Prąd ten posuwa się coraz dalej a jest rzeczą widoczną, że i u nas wejdzie niebawem na porządek dzienny. Ale jeżeli do tego postanowienia przyjdzie, a warsztaty rękodzielnicze nie zaprowadzą podziału pracy fachowej, to czeka je nieunikniona klęska, a nawet zupełna ruina, bo sposób w jaki się obecnie pracuje, i ograniczony czas pracy, obniżą bodaj czy nie do połowy dochody każdego właściciela warsztatu. Zadaniem naszem jest rozpatrzenie się bliższe i wskazanie, jak się dzieje gdzieindziej.

Z KRAJU

Krajowe opłaty konsumcyjne.

Ankieta Wydziału krajowego w sprawie opłat konsumcyjnych od moszczu, piwa i wódki, odbyła posiedzenie celem zasięgnięcia opinji co do sposobu unormowania poboru tych opłat. Do ankiety tej zaproszeni zostali pp.: zastępca marszałka krajowego Antoni Jaxa Chamiec, członek Wydziału krajowego dr. Damian Sawczak, poseł Dawid Abrahamowicz, który był wnioskodawcą tej sprawy w Sejmie, emerytowany radca Wydziału krajowego Józef Marek, dr. Alojzy Rybicki, adjunkt konceptowy Wydziału krajowego Albert Wilczyński i delegat magistratu m. Lwowa.

Ankieta ta, której przewodniczył zastępca marszałka krajowego p. Antoni Jaxa Chamiec, zebrała się w sobotę w sali radnej Wydziału krajowego. Z wyjątkiem pp. D. Abrahamowicza i dr. Rybickiego, wszyscy inni zaproszeni byli na posiedzeniu obecni. Z ramienia magistratu m. Lwowa wziął udział w ankiecie starszy radca magistratu, Romuald Łyszkowski.

Według nowej ustawy o krajowych opłatach konsumcyjnych, ma być w obrębie całego kraju pobierany dodatek 30 prc. do podatku konsumcyjnego od wina. Chodziło przy tym dodatku o to, czy pobieranym on ma być także od osób prywatnych, którzy sprowadzają wino na własny użytek. Ankieta oświadczyła się za tem, aby wino, sprowadzane na użytek prywatny, nie podlegało opłacie. Natomiast opłata po 50 ct. od piwa, pobieraną ma być od wszystkich bez wyjątku.

Następnie poruszoną została na ankiecie kwestja, w jaki sposób ma być unormowany pobór opłat konsumcyjnych. W tym względzie przedstawione zostały dwa systematy. Jeden, zastosowany w Styrji i Salzburgu, gdzie takie opłaty krajowe istnieją, a polegający na tem, że szynkarze, względnie konsumenci, obowiązani są w krajowym okręgowym urzędzie poborczym, zameldować sprowadzone trunki i nie wolno im ruszać beczki, dopóki nie uiszczą należytości. Składy ich zostają pod dozorem ustanowionych w tym celu organów. Drugi systemat polega na tem, iż wszystkie napoje, podlegające opłatom, miałyby być po wyjściu z browarów, względnie z fabryk (przy napojach słodzonych), meldowane u krajowego dozorcy miejscowego, który w takim razie stwierdzi ten fakt boletą, składającą się z 3 części. Mianowicie jedną część nalepi na beczce, drugą odda szynkarzowi, a trzecią część jako awizo odeszle do okręgowego urzędu poborowego.

Ankieta oświadczyła się za pierwszym systematem, zastosowanym w Styrji i Salzburgu.

Podniesiono dalej kwestję, w jaki sposób mają być pobierane opłaty krajowe. Dodatek krajowy do podatku konsumcyjnego od wina, będzie pobierany w ten sam sposób i przez te same organa, które ustanowione są dla państwowych podatków konsumcyjnych. Co się tyczy poboru krajowych opłat konsumcyjnych, podniesiono myśl wydzierżawienia tego dochodu, lub też powierzenia poboru gminom, któreby w zastępstwie i na rachunek kraju pobór ze pewnem wynagrodzeniem uskuteczniały. Kwestja ta wymaga jednak jeszcze głębszego zastanowienia.

Wydział krajowy oblicza, że dochód z opłat i dodatków przyniesie we Lwowie 63.000 złr., w Krakowie 33.000 złr. Dochód z opłat od piwa samego w całym kraju przyniesie 338.600 złr.; dat dokładnych co do produkcji wina i wódek słodzonych nie posiada Wydział krajowy.

KURJER LWOWSKI.

* W sprawie obchodu stuletniej rocznicy nadania Polsce konstytucji w dniu 3 maja 1791 r. wniósł prezydent miasta Lwowa rekurs do ministerstwa spraw wewnętrznych przeciw reskryptowi namiestnictwa zakazującym ten uroczysty obchód. Wywód tego rekursu oparty na ustawie zasadniczej z 21 grudnia 1867. Dz. pr. p. l. 142 i orzeczeniach trybunału państwa, tudzież trybunału administracyjnego — wykazuje, że zakazowi pomienionemu zbywa na prawnej podstawie — wykazuje również, że pomieniony obchód nie sprzeciwia się w niczem ustawom: konstytucja bowiem z 3 maja 1791. której tekst wraz z ustawą z 14 kwietnia 1791 tyczącą się miast, w przekładzie niemieckim do rekursu dołączono — zawiera, jak powszechnie wiadomo, zasady przyjęte dziś we wszystkich niemal prawodawstwach państw cywilizowanych. Odpis rekursu tego z odpowiedniem pismem po myśli uchwały Rady miejskiej, przesłano posłom z miasta Lwowa, celem zaopiekowania się tą sprawą, ewentualnie podniesienia jej w Radzie państwa.

* Wydział krajowy uchwalił przedłożyć Sejmowi wniosek na wydzielenie gminy Bałuczyn z starostwa i okręgu sądowego w Złoczowie i przyłączenie jej do starostwa w Przemyślanach i do sądu powiatowego w Glinianach.

* Magistrat ogłasza, że wakują posady, zastrzeżone dla wysłużonych podoficerów, a mianowicie: Posada dozorcy aresztów policyjnych we Lwowie; posada prowizoryczna mechanika przy Uniwersytecie w Krakowie; 4 lub 5 posad adjunktów podatkowych przy dyrekcji skarbu we Lwowie; posada kancelisty przy sądzie krajowym we Lwowie i takaż w sądzie powiatowym w Kulikowie

* W miesiącu lutym nadano we Lwowie ogółem 1,047.934 posyłek, nadeszło zaś do Lwowa 826.194 przesyłek.

* W Kole literacko-artystycznem powstał zamiar założenia biura prasowego, któreby zagraniczne dzienniki — przeważnie francuskie i angielskie — zasilało autentycznemi wiadomościami z całego obszaru dawnych ziem polskich, głównie zaś z Galicji.

† Zmarł we Lwowie: W dniu 2 b. m. cicho i w osamotnieniu Jan Kanty Hruzik, artysta-malarz, znany dobrze portrecista, starzec 82-letni, Czech rodem, lecz szczery Polak w przekonaniu. Długi jest szereg prac jego, nie zapewniły mu one jednak spokojniejszego „dzisiaj,“ a „jutro,“ jutro osieroconej przezeń rodziny przedstawia się strasznie! Zostawił bowiem Hruzik żonę i troje małych, niezaopatrzonych dzieci. Ofiarność publiczna winna w tym fakcie znaleźć obszerne pole do działania

KURJER PROWINCJONALNY.

* Z Brodów donoszą, iż zbankrutował tam kupiec towarów bławatnych, Godel Heilpern. Pasywa wynosić mają 55.000 złr.

* Z polecenia krajowej Rady zdrowia, otworzyć się ma apteka w Baligrodzie, w powiecie liskim.

* W Rzeszowie otwiera się z d. 1 lipca nowy urząd wymiaru należytości skarbowych.

NOMINACJE.

* Lwowski wyższy Sąd krajowy zamianował auskultanta przy Sądzie obwodowym w Dolnej Tużli, Edwarda Doboszyńskiego, tudzież praktykantów sądowych: dra Hentryka Blausteina, dr. Kazimierza Stanisława Hommego, Eugenjusza Henryka Ansiona, Adolfa Nechay de Felseis, Hieronima Jagoszewskiego, Stanisława Nowosielskiego, Tadeusza Rybickiego, Michała Marjana Felsztyńskiego, dra Władysława Cichockiego, Włodzimierza Kuryłowicza, Feliksa Orzelskiego i dra Joela Falka, auskultantami sądowymi w Galicji wschodniej.

* Dyrekcja poczt i telegrafów przeniosła kontrolera pocztowego, Edwarda Pivla z Rzeszowa do Lwowa, a kasjera pocztowego, Michała Gutkowskiego z Jarosławia do Tarnopola.

Z Królestwa

KURJER WARSZAWSKI

* Donoszą z Rygi, że 19 z. m. spełniono tam zamach na życie Józefa Sliwińskiego, znanego pianisty warszawskiego. Do Sliwińskiego, zajmującego numer w hotelu „Rzym,“ przyszedł około godziny 1 w południe niejaki L. a po krótkiem przemówieniu z pianistą, wyjął z kieszeni rewolwer i skierował go w artystę, ten jednak zdołał odparować rewolwer, wybiegł z numeru i zeszedł schodami na dół do restauracji; L. puścił się za nim w pogoń, lecz potknął się na schodach i upadł, a powstawszy nie gonił już Sliwińskiego, lecz wyszedł z hotelu na ulicę. Wkrótce przybyła do hotelu policja i o wypadku spisano protokół. Sliwiński występuje do sądu przeciw L. o zamach na życie.

* Słynny tenor Tamagno, przebywający obecnie w Moskwie, po skończeniu swoich występów ukaże się na warszawskiej estradzie koncertowej w Towarzystwie muzycznem i to... bezinteresownie. Pan Herz znany tutejszy muzyk poznał go przypadkowo w wagonie, gdy powracał z Wiednia. Podczas jednodniowej podróży, artyści poznali się bliżej i Tamagno oświadczył się z chęcią śpiewania w Warszawie. Pan Herz wytłumaczył mu, że tutejszy teatr nie może płacić wysokich honorarjów, ale tenor odrzekł, że mu nie idzie o pieniądze. Na tych warunkach układ został szybko zawarty i publiczność warszawska w początkach maja, będzie mogła usłyszeć słowika włoskiego.

* Od paru tygodni, gości w Warszawie, rosyjskie Towarzystwo dramatyczne, pod dyrekcją niejakiego Korsza. Siły nieszczególne, repertuar czysto moskiewski, złożony przeważnie z utworów: Ostrowskiego, Gribojedowa i Gogola. Publiczność rosyjska i urzędnicy chodzący „po ukazu,“ wypełnili kilka pierwszych przedstawień, lecz ów sztucznie podsycany zapał osłabł już znacznie i sala błyszczy teraz pustkami. W Warszawie, licząc już garnizon, zamieszkuje około 15.000 Rosjan, ale ci nie odznaczają się wielkiem zamiłowaniem do swojej sztuki narodowej i wolą uczęszczać na balet i polską operę.

* Pięcioaktowy dramat Vossa p. t. „Ewa“ krytyka warszawska przyjęła bardzo nieprzychylnie. Między innymi skrytykował ją ostro Kazimierz Zalewski a zdanie jego podziela w zupełności feljetonista *Kurjera Warszawskiego.*

Listy Kurjera Polskiego

Paryż 31 marca.

O ile luty okazał się dla Paryżanów miesiącem grzecznym, miłym, wiosennym obdarzając ich uśmiechem, za co go nawet pochwaliłem w jednym z moich dawniejszych listów, o tyle marzec zdradził złe wychowanie, charakter kapryśny i zły humor. Od czterech bowiem tygodni na przemian przenika nas deszcz do szpiku, mrozi nas zimno, śnieg wilgotny nasze paltoty bieli, wiatr zrywa i po trotuarach wlecze kapelusze i cylindry, wreszcie parasole przedziurawia grad. Od czasu do czasu z okolic Gulfstreamu przybywa gość, gęsta mgła zapada nad Paryżem, owa mgła, co tyle nadokuczała londyńskiemu korespondentowi *Kurjera Polskiego*.

Przebijam tę mgłę ostrzem pióra i co widzę? Jedno jajko, dwa, trzy, dziesięć, sto, tysiące jaj. Po wszystkich sklepach migocą jajka małe i duże, czerwone, zielone, żółte, niebieskie, naturalne (kurze) lub z cukru, z drzewa, albo kryte pluszem i jedwabiem.

To paryzka Wielkanoc. Co kraj, to inny obyczaj. U nas zwyczajem jest w czasie tych dwóch dni świąt jeść smaczne szynki, słodkie marcepany, konsumować wiele, a nawet za dużo, a potem chorować.

Paryżanie praktyczniejsi i higjeniczniejsi, w dniu Wielkiejnocy spożywają zwykły obiad, w skład którego, nawiasem mówiąc, wchodzą: nadziane ślimaki, morskie potworki, sałaty z t. zw. „pisseulits“, surowe karczochy, czyli kaktusy, jak się wyraził pewien Krakowianin zwiedzający Paryż, słowem, nam ludziom północy potrawy wstrętne. Wielkanoc nie mniej jednak uroczyście obchodzą, nawzajem posyłając sobie podarki, zawarte w jajkach. Prosty robotnik tego dnia nie zapomni jajka z cukru kupić za dwa susy dla swojej córeczki, bogaty „duc“ i bankier za 500—1000 luidorów jajeczko z pluszu lub z marokańskiej skórki, gniazdeczko, w którym spoczywa para soliterów, przypuśćmy, że dla żony.

Wasz korespondent żadnego jajka, niestety, nawet z cukru nie dostał, natomiast spożył polskie, rodzime święcone u córki jednego z naszych znakomitych poetów. pani G. w towarzystwie gościa z Warszawy księdza Chełmickiego, który jutro wyrusza w dalszą drogę ku Brazylji.

Podczas gdy jedni nasi współziomkowie wędrują w daleki, egzotyczny świat, drudzy tymczasem zeń wracają. Dzienniki paryzkie zapowiadają blizki powrót z wyspy Fernando-Po, podróżnika Rogoryn-sky'ego (sic) i jego małżonki (Hajoty). Podróżnik zamierza zdać sprawę w szeregu odczytów z rezultatów swej ostatniej podróży w głąb nieznanej jeszcze dobrze wyspy, którą zamieszkał.

Uderzyło nas w artykułach poświęconych Rogozińskiemu, uporczywe nieuctwo dziennikarzy francuzkich, nie mogących sobie nigdy dać rady z obcemi nazwiskami, a także widoczna manja rusyfikowania Polaków.

Rogozińskiego określają niewyraźnym terminem „Słowianina“. Zresztą w dobrej myśli dają oni do zrozumienia, że przyszły „Conferencier“ pochodzi z nad Newy, czyli „zasługuje“ na sympatję publiczności; osłabiliby „reklamę“ gdyby zdemaskowali jego prawdziwą narodowość!

Zajmują się także dzienniki tutejsze innymi podróżnikami, a głównie przebywającym w Indjach Wielkim księciem Mikołajem Aleksandrowiczem. Przytacza dziennik *Matin* pewne szczegóły o jego pobycie w tych krajach, szczegóły, które świadczą, że członkowie rodziny białego cara nie mogą zaznać spokoju nigdy i nigdzie, nihilizm bowiem trapi ich w dzień i w nocy, na lądzie i na morzu, jak wyrzut sumienia.

Bankietował niedawno Wielki książe w towarzystwie oficerów z Madrasu, gdy w drugiej komnacie rozległ się huk. Powstał blady, dostojny gość, otoczyli go ucztujący z dobytemi pałaszami i towarzystwo całe w szyku bojowym wkroczyło do izby, zkąd doszedł głos wystrzału Ujrzano wtedy, leżącą na podłodze butelkę wody sodowej, z rozsadzoną szyją. Gaz tutaj jedynie rozegrał był rolę dynamitu.

Kilka dni później na statku *Pamiat' Azowa* zbliżył się do Wielkiego księcia źle ubrany człowiek. Źle ubrany człowiek może być tylko nihilistą. To też nie namyślając się, z obawy aby nie być uprzedzonym, Wielki książe pali doń dwa razy z rewolweru. Chybia, gdyż mu drżała ręka, i mniemany nihilista, ubogi żydek, wręcza mu prośbę o zapomogę na podróż do kraju rodzinnego

Mamy więc znowu do zanotowania dwa nieudane zamachy nihilistyczne

Niedługo zejdzie z horyzontu Paryża osobistość, która wiele o sobie kazała mówić, troskliwie o to się starając, otaczając się orkiestrą, bębniącą jego nazwisko na wszystkie strony świata. Mowa tu o dyrektorze *Théatre Libre,* Antoine. Niedawno uważano go za mecenasa sztuk, proklamowano go szefem nowego kierunku dramatycznego, krzewicielem wolności literackiej i t. d. i t. d. Od kilku dni zaszła zmiana frontu. Kilka dzienników rozpoczęło przeciw niemu kampanję i to nie przeciw jego ideom, tem bardziej, że zaprzeczają, jakoby kierował się kiedykolwiek pewną ideą, ale przeciw osobie. Demaskują go, odkrywają rozmaite sprawki, ogłaszają liczne manewra, które owego szefa nowych kierunków redukują do rozmiarów prostego handlarza. I nie inaczej też nazywają go, jak kupcem, spekulującym na namiętności ludzkie. Barnumem wystawiającym patologiczne i psychologiczne monstra, wyszłe z mózgownicy niedowarzonych dramaturgów.

Zniknie zatem owa wielkość, a może, co daj Boże, i jego Wolny Teatr. Sztuka na tem nie ucierpi.

Koniec sezonu artystycznego odznacza się szczególną ruchliwością. Premiera po premierze, zmusza sprawozdawców teatralnych do ciągłego biegania z jednego teatru do drugiego. Na wszystkich prawie scenach wystawiają nowości. W *Théatre Français: Le mariage blanc,* Julijusza Lemaître; w *Théâtre Beaumarchais: Les Justes noces* (autor zachował bezimienność); w *Menus Plaisirs: L'Oncle Celestin;* operetka Manrycego Ordonneau i Keroul'a, muzyka Edmunda Audran; w *Odeonie: Alceste,* Alfreda Gessier i t. d.; w tych dniach także otwarty został *Hippodrome* i wystawiono wielką na jego scenie pantominę historyczną p. t.: *Neron.* Całe życie Nerona wiernie streszczone, roztacza się w główniejszych scenach przed okiem widza. Przed jego okiem ukazuje się wspaniały obraz starożytnej Romy, a malcy zaprowadzeni na to przedstawienie, uczą się dziejów lepiej w Hippodromie, niż z książek w klasie.

Wreszcie *Porte-Saint-Martin* wystawił dramat Stanisława Rzewuskiego p. t.: *L'Impératrice Faustine.* Wstrzymamy się od wypowiedzenia naszego o tej sztuce zdania, ograniczając się na notowaniu głosów krytyki paryskiej.

Dzienniki hołdujące naturalizmowi w dramaturgji, ostro przeciw sztuce wystąpiły. Było to do przewidzenia, u tych panów tragedja historyczna nie jest w łasce. Publiczność również chłodno przyjęła utwór, gdyż nie jest bombastyczny, poważny zaś krytyk z *Temps,* Sarcey, tłómaczy przyczynami niezależnemi od autora, obojętność widzów. Pisarzowi przyznaje duży talent i wielką znajomość sceny, dwa koniecznie potrzebne autorowi dramatycznemu przymioty, które jednak nie wystarczyły Rzewuskiemu do obrobienia niewdzięcznego przedmiotu. Bo przedmiot — historja Faustyny i Marka Aurelijusza — nie jest ani wdzięcznym, ani ładnym. Bohaterzy działają pod presją namiętności niezwyczajnych i w pewnych okolicznościach występują wprost bezsensownie. Naprzykład Aureljusz, gdy mianuje Avidjusza naczelnikiem legjonów, wiedząc o tem, że człowiek ten kocha jego żonę i gotów dla tej miłości do najniższych nikczemności. Postacie ze świata rzymskiego, widocznie nie umiały przemówić do dzisiejszego usposobienia Paryżan i tragedja, jakkolwiek z uznaniem, ale dość chłodno była przyjętą.

Maurycy Mycielski.

Z krainy łez

Zdawało się, iż sprzedaż olbrzymiej fortuny, będącej własnością zmarłego księcia Wittgensteina, jest zadaniem bardzo trudnem do przeprowadzenia. Jednakże, przy pomocy dwóch świeżych instytucyj: Banku szlacheckiego i Banku włościańskiego, powstałych pod egidą rządu, celem posunięcia naprzód rusyfikacji kraju, rozpoczęła się już na dobre szarpanina naszej ziemi. Jak wiadomo, w tych Bankach kredyt jest dostępny tylko dla osób prawosławnej wiary i rosyjskiego pochodzenia, żaden Polak nie dostanie w nich jednej kopiejki, — to też przychodźcy z nad Wołgi i Uralu, kupują za bezcen obszerne majątki i chociaż je tracą w krótkim czasie, ale przez kilka lat żyją szeroko i wyrzucają pieniądze pełnemi garściami. W dwóch tylko powiatach: nowogrodzkim i słuckim, przeszło półmiljona dziesięcin najżyźniejszej gleby przeszło w ręce moskiewskie. Dobra Zamirskie, ze starożytnem miasteczkiem Mir i ruinami zamku Radziwiłłów, nabył książę Światopełk-Mirski, ataman Kozaków dońskich. Zacny jenerał, chcąc zatrzeć wspomnienia po dawnych właścicielach, postanowił przedewszystkiem przerobić stary zamek na cerkiew. Wogóle, Moskale ze wszystkich miejsc, usuwają stare pamiątki i zacierają wszelkie ślady polskości.

Co do dóbr Wittgensteinowskich, to nabywcy, dzielą się na dwie kategorje. Do pierwszej należą: urzędnicy i przywłoki z głębi Rosji, a do drugiej włościanie. Dla ułatwienia zbytu, administracja parceluje nawet większe majątki. Chłopi, bądź pojedynczo, bądź grupami, nabywają całe wsie, co im przychodzi z łatwością, bo Bank udziela pożyczki od 50—75% wartości ziemi. Gdy przyjdzie opłacić pierwszą ratę, chłop, jak zwykle, wzdryga się rozwiązać worek, bo do głowy wejść mu nie może, aby dobroczynny rząd, chciał odbierać to, co mu ofiarował. Wynikają spory sądowe i rezultat, że najczęściej nowego posiadacza komornik wyrzuca z siedziby i ziemia przechodzi na własność instytucji. Nie lepiej się dzieje z urzędnikami i szlachtą rosyjską, bo ci tak samo, nie lubią uiszczać rat i naturalnie, wskutek podobnej gospodarki, Bank i właściciele, zostaną wkrótce zrujnowani.

Jednakże, dla całej sfery urzędniczo-sądowej i adwokackiej, sprzedaż owych dóbr jest świetnym interesem, a całe legjony oszustów, faktorów i stręczycieli, zarabiają grube pieniądze. Jak dotąd, ledwie sprzedano trzecią część, a do kasy ks. Hohenlohe, wpłynęło już około 12 miljonów rubli. Można sobie więc wyobrazić, co za kolosalna fortuna przejdzie znów w ręce rosyjskie. Zmarły ks. Wittgenstein, uchodził także za Rosjanina, lecz cały zarząd jego majątków, spoczywał w rękach Polaków. Dziś, Polakom niewolno obejmować nawet stanowiska rządcy, lub plenipotenta, bo na to istnieje carski ukaz, który wzbudził nawet niezadowolenie samych Moskali, gdyż z praktyki wiadomo, że tylko ludzie naszej narodowości, sumiennie wypełniają powierzone im obowiązki.

Zresztą, cóż więcej pisać? Wszędzie same bezprawia. Żadna sprawa, najdrobniejszy nawet interes, nie obejdzie się bez „smarowania“. Zawsze trzeba płacić i tylko płacić. Przed niedawnym czasem, w biurze gubernatora wileńskiego, jeden z urzędników zażądał 50 rubli łapówki, za wyrobienie paszportu. Gdyby nie wsunięto w rękę tej kwoty, to szlachcic, chcący wyjechać za granicę, musiałby czekać na paszport kilka tygodni i więcejby wydał na koszta pobytu w mieście.

Wśród ludu szerzy się okropna demoralizacja, a kronika kryminalna wzrasta w sposób zastraszający. Przytem przesilenie rolnicze przyprowadza gospodarstwo do ruiny i upadku. Handel prawie nie istnieje, a wszystkie produkty marnują się za bezcen.

Oto, co Moskale zrobili z naszej pięknej, drogiej Litwy!!

Z różnych sfer i stron.

W piekle angielskiem.

V.

Ekonomiści oburzają się na plan Bootha. Gdy cały organizm społeczny opiera się na swobodnej podaży pracy, zjawia się nagle reformator, który samowolnie zmienia istniejące warunki, werbuje ludzi do swoich miłosiernych zakładów, a potem wyzyskuje ich zarobek Jest n. p. w dokach londyńskich kilkadziesiąt tysięcy robotników, którzy najmowani są do wyładowywania okrętów w miarę potrzeby i na warunkach odpowiednich napływowi towarów. P. Booth uważa tę całą ludność portową za kwalifikującą się do jego instytucji. Ma się prawo zapytać, czyby się stosunki handlowe londyńskiego portu nie zmieniły całkowicie w razie, gdyby owe masy robotnicze były prowadzone do pracy przez swego organizatora, działającego i zawierającego umowy w ich imieniu. Istotnie cywilizacja ekonomiczna uczyniłaby wówczas wielki krok, ale nie ku postępowi, lecz ku tyranji i wyzyskiwaniu jednostek.

Booth staje przed społeczeństwem i żąda, ażeby mu dało środki dostarczenia pracy tym, którzy chcą pracować. Wiemy, co znaczy owo prawo do pracy, które w jego umyśle nie ulega żadnej wątpliwości. Wszyscy rewolucjoniści socjalni oddawna zapisali je na swym sztandarze i niepodobna widzieć w tej doktrynie żadnej inowacji. Po tysiąc razy wymaganie to teoretycznie i praktycznie otrzymało należną odprawę. Przy organizacji społecznej, opartej na indywidualnem gospodarstwie i konkurencji, nie ma prawdopodobieństwa, ażeby naród wynajdywał i dostarczał środki zarobkowania dla wielkiej masy osobników, pozbawionej takowych. Nieprodukcyjne przedsięwzięcia wywołałyby w danej chwili przesilenie i spowodowały reakcję, któraby najciężej tym wydziedziczonym we znaki się dała. Są to wszystko oklepanki ekonomiczne, które wstyd powtarzać, ale które wywołane są przez propozycje, jakie mógł tylko sformułować człowiek, nie znający teoryj ekonomicznych.

W każdym ustępie książki zdradza jej autor najzupełniejszą nieznajomość literatury i historji reform socjalistycznych. Zdawaćby się mogło, że nikt do tego czasu o zagadnieniach tych nie myślał i że trzeba było Armji zbawienia, ażeby je dostrzedz, zrozumieć i pośpieszyć im z pomocą. Ale taki brak naukowego wykształcenia możnaby jeszcze wybaczyć sekciarskiemu pastorowi. Problematy, nad któremi ludzie wiedzy i najpoważniejsi mężowie stanu suszą sobie głowy, objawiły mu się nagle i w nieświadomości swej uważa je za daleko snadniejsze do rozwiązania, aniżeli są w istocie. Mniejsza o to. Ale co przebaczyć mu trudniej i co mu wyrzucają gorzko, jest to, że ów filantrop z umysłu pomija i przemilcza istnienie najrozmaitszych zasłużonych, oddawna już działających, potężnych stowarzyszeń dobroczynnych i przedstawia siebie samego i swoją armję, jako jedyny, jako wyłączny organizm, dążący do celu, z pomocniczą ręką dla zaprzepaszczonych.

Taka taktyka wywołała okrzyk zgrozy i trzeba przyznać, że pokrzywdzeni mieli prawo zaprotestować. Nietylko urzędowy kościół państwowy, rozporządzający olbrzymiemi kapitałami, szczodrobliwie niemi obraca na fundowanie i utrzymywanie najrozmaitszych instytucyj dobroczynnych, nietylko każda z sekt odpadłych od niego współzawodniczy w tej samej działalności dobroczynnej, ale obok tej kościelnej istnieje świecka dobroczynność. Nie ma kraju pod słońcem, gdzieby było więcej filantropijnych Towarzystw, a gotowość do dawania pieniędzy uboższym w formie subskrypcji i corocznych regularnych wkładek do tych lub owych stowarzyszeń, jest wśród klas zamożnych angielskich rzeczą zwykłą, normalną, obowiązkową, od której nikt się usuwać nie myśli.

Nie mówimy już o filantropach, jak Peabody albo lord Shaftesbury, których fundacje dobroczynne stoją jak słup drogowy albo morska latarnia, wskazując bogaczom drogę do ratowania nędzy moralnej i materjalnego ubóstwa — ale jest tysiące Towarzystw, działających w szerszym lub ciaśniejszym zakresie, stosownie do swych środków, a każde zagrzane szlachetnym zapałem ulżenia cierpiącym. Gdy Booth mówi o przyjściu w pomoc uwolnionym więźniom, albo nawróconym grzesznicom, albo o przygarnianiu włóczących się dzieci — zdawaćby się mogło, że jest twórcą tych instytucyj. On projektuje je dopiero, gdy istnieją one i wiele innych od lat dziesiątków i mają za sobą doświadczenie i złotą księgę oddanych usług. Jest cynicznem zuchwalstwem pomijanie tego ważnego czynnika filantropijnego.

A zapominać nie należy, że dobroczynność taka, jaka była praktykowana dotąd w W. Brytanji, ma podwójną wyższość nad planem generała Armji zbawienia. Naprzód świadczyła ona dobrze, ocierała łzy, karmiła, odziewała, dostarczała pracy bez prozelityzmu sekciarskiego; następnie każde z istniejących stowarzyszeń zajmowało się pewną specjalnością, pewną gałęzią dobroczynności i doszło do technicznej w niej biegłości. Booth ma wielką, za wielką ambicję i zarozumiałość — i obiecuje rzeczy, których zdziałać nie może. Chciał założyć np. bank i obiecywał procenty, których żaden uczciwy bank dać nie może. Gdyby ten nieszczęśliwy pomysł się był urzeczywistnił, byłby popchnął do ruiny tych, coby mu swe ostatnie powierzyli grosze. Tak samo stałoby się w wielu innych zakładach i instytucjach, które zapowiada, o których mgliste tylko zdaje się mieć wyobrażenie.

Posłannictwo Polek.

(Ciąg dalszy).

Minęły już czasy bierności kobiety; jeżeli zaś żąda równouprawnienia, chociażby tylko w możebnem znaczeniu, to winna się poczuwać do pracy, o ile siły jej starczą, a zrozumieć powinna pracę osobistą nie tylko dla własnego ja, ale zbiorową dla wielkiej rodziny — narodu Podając w zarysie tylko obszerne, wszechstronne pole do pracy kobiecej, nie możemy się wdawać w dalsze szczegóły tejże, bo to praca nieustająca, która dopiero następnie wyłaniać się będzie w praktyce. Gdy kobieta zastanowi się i badać będzie szczegółowo glebę, na której ma rozwinąć swą działalność, nabierze przekonania, że przed nią są otwarte nieprzebrane kopalnie złota i innych cennych kruszców, z których czerpanie zależy jedynie od jej własnej woli i wytrwałości. Chcąc stanąć na tym szczycie posłannictwa, wzbogacenia kraju moralnie i materjalnie, powinna naprzód zrozumieć stare przysłowie: „Gromada to wielki człowiek i siła.“

A to przysłowie znowu wskazuje, że zawięzywanie tu i owdzie Towarzystw oszczędności, będzie tylko stanowiło kółeczka, które jednakowoż do poważniejszego znaczenia nie dorosną a może już dzisiaj te kółka same się przekonywują, że bez szerszej akcji, rozciągniętej na cały kraj, nie da się wiele zrobić.

Jedynie zespolenie się w wielkie stowarzyszenie, obejmujące wszystkie warstwy społeczne, może wydać plon, jakiego kraj i naród ma prawo żądać od kobiety.

Zadanie to nie jest jednakowoż łatwe, jak długo w społeczeństwie kobiecem nie nastąpią zmiany, co właściwie stanowi honor i cześć kobiety, co ją podnosi a co upokarza w życiu codziennem? Jak długo kobieta będzie jedynie wytężać myśl, aby zapomocą zewnętrznego blichtru mogła zdobywać serca, uznanie i powagę, to w tych warunkach nigdy się nie podniesie, a natomiast spadać będzie niżej i coraz niżej.

Kobieta, Polka czy Rusinka, która pomimo najszlachetniejszych uczuć tlejących w jej sercu, nie znajdzie natyle cywilnej odwagi, aby poświęcić zgubne dla niej dotychczasowe nawyczki, i jeżeli nie przestanie hołdować bałwanowi mody i nie pozbędzie się fałszywego wstydu, może sobie śmiało powiedzieć, że przed nią nie ma lepszej przyszłości, a tylko upadek, czyli nędza moralna i materjalna.

Kobieta, która się rumieni na samą myśl, że miałaby wystąpić w sukni skromniejszej, jak inne jej towarzyszki, to cóż w takim wypadku mówić o jej posłannictwie w narodzie, gdy nie potrafi się wzuieść wyżej ponad ponętną, gadającą lalkę? Pójdźmy dalej. Nietylko w rodzaju męzkim, ale i kobiecym, są na porządku dziennym zawsze modne rozprawy, narzekania i oburzanie się na tak zwaną arystokrację rodową, jej odróżnianie się od zwykłych śmiertelników i odosobnianie. Otóż zechciejmy być sprawiedliwymi i przypatrzmy się innym warstwom społecznym, żyjącym nietylko po za magnaterją, ale najzwyklejszą szlachtą. Przypatrzmy się żonom i córkom naszego mieszczaństwa, urzędników i profesorów wszystkich klas, wogóle inteligencji lub pseudo-inteligencji. Tam dopiero ujrzymy to, czego się w warstwach ozdobionych herbami nie możemy tak łatwo dopatrzeć. Tu dopiero kodeks arystokracji przedstawia się w całej swej potędze i znaczeniu, a daje najwyraźniejszy obraz, jak te warstwy pojmują ideę demokratyczną i równouprawnienie, jak szanują te sztandary, na które się odwołują, lub zdaje się im, że wyznają te same zasady!

(Dokończenie nastąpi).

Publikacja na czasie.

Od miesiąca już czytamy w pismach o licznych wydawnictwach popularnych, z powodu setnej rocznicy Konstytucji trzeciego maja. Wszystko to są, lub będą książeczki małe, tanie i wielce pożyteczne, bo rozrzucone pomiędzy lud i szerokie warstwy, zapoznają ich z duchem konstytucji i z dziejami jej uchwalenia. Ale dziwnem byłoby doprawdy, aby jubileusz tak wielkiej chwili dziejowej, stojącej bodaj czy nie na równi z wiekopomną Unją lubelską, nie powołał do życia wydawnictwa, przeznaczonego dla kół inteligentnych, dającego o ile możności dokładny obraz nietylko historycznego przebiegu uchwalenia Konstytucji, ale wrażenia, jakie ona wywarła na współczesnych. Kalinka samej Konstytucji poświęca nie wiele kart swego „Sejmu czteroletniego“, Wegner ogranicza się na podaniu kilkunastu dokumentów i na sprawozdaniu ze sesji trzeciego maja, korzystając z wydania mów na niej wypowiedzianych, spisanych przez ks Siarczyńskiego. Jest to bardzo mało w porównaniu do wielkości faktu. Trzeci maj czeka jeszcze na swego historyka, który wszechstronnie zbada i opisze ten wspaniały obraz usiłowań narodu do podźwignięcia się i pozbycia wad starych. Ale tymczasem należałoby, korzystając z chwili obecnej, dać przynajmniej dorywczy materjał do przedstawienia sobie tego momentu dziejowego i tego, jak powiedzieliśmy wrażenia, jakie on wywarł na całe patrjotyczne społeczeństwo polskie i na zagranicę.

Jak z przyjemnością się dowiadujemy, podjął się tego p. Kazimierz Bartoszewicz i niezadługo mieć będziemy w rękach: *„Księgę Pamiątkową setnej rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja“*

Wydawca przedewszystkiem skorzystał z wydanych już, lecz rozrzuconych materjałów. Wystąpią przeto naprzód w *Księdze* Ignacy i Stanisław Potoccy, Dmochowski i Hugo Kołłątaj ze swoją pracą o ustanowieniu Konstytucji; pierwszeństwo to należy się Kołłątajowi, choćby poglądy tego genjalnego bądź co bądź męża, podlegały naukowej dyskusji.

Po Kołłątaju będzie powtórzona historja sesji według Wegnera i Siarczyńskiego. Później Michał Czacki przypomni się ze swoją „Rozmową nad Styksem“. Nastąpią dalej artykuły sprawozdawcze ze sesji i z ówczesnych pism: *Gazety warszawskiej* i *Gazety narodowej i obcej.* Dalej wydawca poda cały szereg wyjątków ze wspomnień naocznych świadków, co wiekopomnej uchwale przysłuchiwali się; między niemi ma być nieznane zupełnie wspomnienie Niemca, bawiącego wówczas w Warszawie. W dalszym ciągu tych materjałów, spotkamy się z głosami o Konstytucji najpierwszych ludzi i powag XVIII wieku. Dalej pójdzie sama „Ustawa“ z kopją autograficzną pierwszego jej wydania Gröllowskiego. Po tym materjale poda jeszcze wydawca przedruki paru rzadkich broszur, a następnie sięgnie do rękopisów i z nich zaczerpnie nieznane dokumenty. Między innemi będzie opis uroczystego obchodu Konstytucji przez szkoły na ziemiach polskich istniejące, oraz zbiór listów nie drukowanych, odnoszących się do uchwalenia Konstytucji. Zakończą ten dział współczesne utwory poetyczne, po większej części z rękopisów wybrane oraz satyry, zagadki i t. d, również z rękopisów wybrane, a charakteryzujące epokę i głównych działaczy. Tak będzie wyglądała pierwsza część dzieła, mająca się ukazać w końcu bieżącego miesiąca.

Druga część wyjdzie w połowie maja i poświęconą zostanie specjalnie obecnemu jubileuszowi. P Bartoszewicz chce w niej dać obraz szczegółowy wszystkich usiłowań w kraju i za granicą, aby setną rocznicę chwały narodowej z należytym pietyzmem obchodzić. Będzie to więc opis jubileuszu, a raczej tych kilkuset obchodów, jakie wywoła wielka rocznica. Prócz tego druga część księgi obejmie wszystkie wyższej wartości utwory poetyczne, artykuły literackie i publicystyczne, jakie pojawią się w dniach uroczystego obchodu jubileuszu. Będzie to więc dokument świadczący o uczuciach naszego społeczeństwa, o hołdzie, jaki złożyliśmy pamięci wielkiej idei zawartej w Ustawie trzeciego maja.

Dzieło całe, bardzo poważnych rozmiarów, ozdobione zostanie kilkudziesięciu rycinami i autografami. Każda miejscowość Warszawy, złączona tradycją z uchwaleniem konstytucji, znajdzie swoją osobną kartę, jak również widok sali sejmowej ze współczesnych rycin i obraz sejmujących stanów ze współczesnych a całkiem nieznanych dzieł sztuki. Również poda wydawca kopję nadzwyczaj rzadkich sztychów i rycin dotyczących konstytucji, a znajdujących się zaledwie w paru większych zbiorach prywatnych. Naturalnie, że księga zawierać będzie portrety króla, Małachowskiego, Kołłątaja, Ignacego Potockiego, Dekierta itd., słowem wszystkich głównych działaczy przy ułożeniu i uchwaleniu konstytucji. Dalej pójdą podobizny współczesnych gazet, broszur i druków, oraz kilka autografów.

Tak pojęta i wydana *Księga Pamiątkowa* stanie się prawdziwym pomnikiem konstytucji i jej jubileuszu, a powagą swoją i znaczeniem zostawi po za sobą wszystkie okolicznościowe wydawnictwa.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

* Dziennik *Echo* wydawany po polsku w Buffalo (Stany Zjednoczone), pisze w ostatnich dniach lutego b r.: „Znakomity nasz artysta, muzyk i kompozytor, Antoni Kątski, za parę tygodni obchodzić będzie 70 letnią rocznicę pierwszego występu jako koncercista. Dnia 28 marca 1821 roku, p A. Kątski brał udział w koncercie urządzonym w Krakowie na cel dobroczynny. Kompozycje pierwsze Kątskiego ukazały się w Warszawie przed 66 laty. Nasz Kątski więc od lat 70 jest chlubą naszego narodu. W obec tego, zdaje nam się, nie od rzeczy byłoby skorzystać z tej sposobności, aby złożyć w jakikolwiek sposób choć malenki dowód tego wysokiego uznania, jakie bezwarunkowo od nas należy się naszemu sędziwemu artyście. Związek narodowy, którego gorliwym członkiem jest zawsze i wszędzie Antoni Kątski, powinienby również zdaniem naszem poczuwać się do obowiązku sprawienia jakiej miłej niespodzianki naszemu dzielnemu artyście. Dziś rzucamy myśl samą, omówienie szczegółów pozostawiamy ogółowi Antoni Kątski urodził się w Krakowie 1816 r. W piątym roku życia występował w koncercie po raz pierwszy. W Ameryce do tej chwili nie stracił energji, chociaż nieszczęście go prześladuje. W dom jego uderzył piorun i spalił cały dobytek artysty, który doznał szkody na 80.000 franków“.

△ W *Narodnich Listach* znany krytyk czeski, Duchosław Panyrek, umieścił artykuł o najnowszej beletrystyce polskiej, zwracając głównie uwagę na działalności polskich literatek. Czytamy tu mianowicie o Elizie Orzeszkowej, Wittównie, Rodziewiczównie, Zapolskiej, Ostoi, Marrenowej, Soleckiej. O tej ostatniej, tak młodo niestety zmarłej, rozpisuje się p. Panyrek z wielką sympatją, i poświęca jej pracom dłuższą wzmiankę.

△ *Najnowszy Elementarz Polski*, ułożył i wydał Plato v. Reussner w Warszawie. Wydanie czwarte.

Kronika zagraniczna

KURJER WIEDEŃSKI.

* Złote medale za najlepsze obrazy na tegorocznej wystawie w Künstlerhaus otrzymali: medal dla malarzy zagranicznych Monachijczyk Uhde; medale dla malarzy krajowych: Wiedeńczyk Dernant i *Zygmunt Ajdukiewicz* za swój cykl „Ilustracje do historji Kościuszki“. W pierwszych dwóch tygodniach od 16 do 31 marca zwiedziło wystawę przeszło 30.000 osób. Zakupiono 97 dzieł za ogólną sumę 67.310 złr.

* W Baden odkryto grotę, w której znajdują się szczątki świątyni rzymskiej.

* Z Pragi donoszą, iż w imieniu cesarza wyraził namiestnik hr. Thun kondolencję drowi Riegerowi, z powodu śmierci jego żony.

* Zmarł tu długoletni redaktor gazety *Oesterreichische Volkszeitung*, Teodor Hemsen Hemsen był dobrym publicystą i dosyć znanym romansopisarzem.

* Z Pragi donoszą, iż policja zabroniła zgromadzenia robotniczego, które miało naradzać się nad obchodem 1-go maja. Pomimo zakazu zgromadziło się wielu robotników na wyspie strzeleckiej. Policja powstrzymywała przybywających; aresztowano 5 osób.

KURJER BUDAPESZTEŃSKI

* Między urzędnikami tutejszego dworca kolejowego panowało w tych dniach wielkie przerażenie, ponieważ podczas przeładowywania wagonów, zginął worek z pieniędzmi, w którym znajdowało się 295 000 złr. Można sobie wyobrazić, jak gorliwie szukali wszyscy nieszczęsnego worka, ile westchnień do św. Antoniego i ile przekleństw unosiło się nad dworcem... Kiedy już powszechna rezygnacja owładnęła zrozpaczonymi urzędnikami, zjawił się jeden z nich niosąc z trjumfem w ręce worek z nienaruszoną sumą 295.000 złr. Worek ten upadł na ziemię podczas przeładowywania i widocznie nie spostrzegł go nikt — „elastyczny“.

KURJER BERLIŃSKI.

* W Wiesbaden rozpoczął się dziesiąty kongres lekarzy chorób wewnętrznych, pod przewodnictwem tajnego radcy Leyden'a z Berlina. Z Wiednia udał się na kongres Nothnagel, z Pragi Jaksch.

KURJER PARYSKI.

* Wskutek depeszy, otrzymanej z Brukseli, policja tutejsza przyaresztowała pewnego złoczyńcę, którego czyny w dziedzinie złodziejstwa, można porównać tylko z takimi potentami, jak Jakób Sheppard, lub Robert Macaire. Z urodzenia Niemiec, według okoliczności przybierał różne nazwiska. Sommer we Francji, de Richard, de Mayer w Niemczech von der Sommerand w Holandji i Belgji popełnił tyle zbrodniczych napadów, że chcąc wszystkie opisać, potrzebaby wydać parę tomów i wątpić nie należy, że znajdzie swojego historjografa. W r. 1878 został skazany przez sąd przysięgłych w Antwerpji na 13 lat ciężkiego więzienia, lecz zdołał umknąć. Przyaresztowany w 1883 r. został osądzony w Düsseldorf znowu na 10 lat. W nocy, po wyroku zamordował strażnika i n[illegible]kojniej opuścił miasto. W cztery dn[illegible]niej napadł jakiegoś podróżnika w wagonie i obrabował na 200.000 franków To mu nie przeszkadzało, iż znowu w tydzień spełnił podobny czyn na kolei idącej do Louvain. Ścigany przez policję belgijską, przeniósł się do Paryża. Tam osiedliwszy się na przedmieściu św. Antoniego, uformował bandę i przez kilka lat był postrachem mieszkańców kilku dzielnic. Głównie jednak urządzał napady w okolicach pozamiejskich. Nareszcie przyaresztowano jednego ze wspólników. Bojąc się wydania opuścił Paryż i zamieszkał w Asniers, jako spokojny kapitalista. Niedługo jednak tu zabawił i wraz ze swoją kochanką, niejaką Marją Richard, powrócił do stolicy gdzie odgrywał rolę wielkiego pana. Wytwornie ubrany, mówiący biegle po francusku, niemiecku, angielsku, hiszpańsku i flamandsku, przytem posiadający elegenckie manjery, potrafił sobie szybko zjednywać przyjaciół i był tem niebezpieczniejszy.

Aresztowanie jego jest tem ważniejsze, że rysopis odpowiada zupełnie rysopisowi tego indywiduum, które przed kilku miesiącami, ukradła, w pociągu pospiesznym idącym do Kolonji, brylanty należące do baronowej Rothschildowej.

* Pisaliśmy obszernie o zmarłym poecie Józefie Soulary Jeszcze parę szczegółów dodać należy. Na kilka godzin przed śmiercią doczekał się dopiero poeta uznania ze strony Akademji francuskiej. Dożywotni sekretarz tejże, Kamil Doucet, zawiadomił poetę, że Akademja postanowiła wielką doroczną nagrodę swoją 10.000 franków przeznaczyć mu, pytając jednocześnie, czy nagroda przyjętą zostanie. Soulary, który we dwie godziny później umarł, zbierając ostatek sił, rzekł do przyjaciela swego Pawła Mariétou: „Odpowiedz że przyjmuję“. Słowa te telegramem przesłano sekretarzowi Akademji. Obecnie Kamil Doucet twierdzi, iż zwolniony jest od słowa, śmierć bowiem poety nastąpiła przed przyznaniem mu nagrody na urzędowem posiedzeniu Akademji, przyjaciele zaś Soulary'ego, i nie bez słuszności, dowodzą, iż nietyle chodzi tu u nagrodę pieniężną, ile o zaszczytne odznaczenie i uwieńczenie uroczyste dzieł poety. Spór załatwiony zostanie prawdopodobnie kompromisem, przyznającym poecie zmarłemu zaszczytne odznaczenie, przekazującym jednak nagrodę w brzęczącej monecie walczącemu o przyszłość a niezamożnemu talentowi.

SPORT.

* Sezon wyścigowy w Wiedniu, rozpoczął się 5 b. m. Pomimo niezupełnie czystego nieba, publiczności zgromadziło się na miejscu bardzo wiele. Sportsmeni przybyli z różnych stron, głównie z Buda-Pesztu. Z dworskich sfer pojawił się tylko arcyksiążę Ludwik Wiktor. Najwyższy interes budził Przedświt-Handicap, najwybitniejszy numer tegorocznych wiosennych wyścigów w Wiedniu. Rezultat przedstawia się następująco:

W gonitwie rozpoczynającej zwyciężył „Remus“ hr. Sztaray; w gonitwie próbnej „Micsoda“ hr. Henchel'a, w Przedświt-Handicap „Or-Vif“ br. Springera (trzeci przybył do mety „Cabotin“ hr. Baworowskiego); w gonitwie sprzedażnej „Georgine“ hr. Trauttmansdorffa; w gonitwie Majden zwyciężyła „Lina“ hr. Apponyi; w Handicap wygrał „Csufondar“ p Blaskovicza; w gonitwie Weroniki „Day“ p. Jakabffy.

Rozmaitości

Jeden z najlepszych. Dzienniki szwajcarskie donoszą, że do Brazylji zawitał ciekawy oryginał, Anglik naturalnie, sir William Hesterland, jadący do Lucerny, a ztąd przez Gothard na półwysep włoski.

Ów sir Hesterland jest bogatym manjakiem, który od lat siedmiu ustawicznie jeździ kolejami, z utęsknieniem wyglądając chwili, w której pociąg wiozący go... z szyn wyskoczy.

Jest to jedyny, jak na teraz cel jego żywota.

I oto co za nieszczęście! Przed tygodniem wykoleił się pociąg w Mosbach, pod Frankfurtem. Czy urzekł kto Anglika, czy co dość, że przejechał tamtędy najszczęśliwiej na pół godziny przed katastrofą. Od tej chwili jest niepocieszony i, rzecz na Anglika niesłychana, głośno lamentuje i zwierza się ze swej boleści przed towarzyszami podróży. Nareszcie w przystępie najwyższej goryczy oznajmił przy tabldocie w hotelu, że jeżeli i we Włoszech nie zdoła karku skręcić, tedy zmuszony będzie *znowu* pojechać do Ameryki, gdzie wypadki bywają częstsze...

O Ameryce jednak wyraża się sir William Hesterland bardzo niechętnie a ma po temu wcale ważne powody. Oto przed laty czterema gościł sir Hesterland na drugiej półkuli i przez trzy lata zawzięcie jeżdżąc kolejami, ani razu nie mógł doczekać się upragnionej katastrofy. Był jednak młodszy, serce miał gorętsze, widząc przeto, że wszystko idzie mu na opak, „wziął“ i przekupił maszynistę, aby ten dał tyle pary, ile trzeba na to, aby pociąg wykoleił się, albo wyskoczył w powietrze. I już z rozkoszą wyglądał obietnicy, pędząc całą siłą pary, gdy pociąg zwolnił biegu i zatrzymał się jak zwykle na stacji, ale o zgrozo, ze stacji tej weszło do wagonu dwóch konstablów i sira Hesterland, wyprowadziwszy na świeże powietrze zawieźli do... czubków: maszynista wygadał. Rok przesiedział u warjatów miły syn Albjonu i zdaje się, że możnaby go tam znowu zamknąć bez krzywdy dla ludzkości....“

Przerażające szczegóły przynosi telegraf z Valparaiso o ostatniej walce między powstańcami a wojskami rządowemi. Według depeszy nadesłanej do Londynu, związano dwustu schwytanych powstańców i zastrzelono ich jednocześnie armatami i karabinami.

NA ZŁAMANIE KARKU.

POWIEŚĆ

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Nareszcie ten nieznajomy się żegna i powiada:

— Mój Dzwonkowski, idźże teraz na banhof i czekaj, a ja tam sprowadzę tego ajenta z Brazylji! Za piwo i za koniak płacić nie trzeba, bo ja już rachunek zaspokoiłem. Skoro ten poszedł, więc i Matus nie miał tu już co robić. Cóż, kiedy się na ulicy nie mógł pomiarkować, która droga prowadzi do banhofu.

Pyta jednego, pyta drugiego — na nic, oni ruszają ramionami i idą dalej.

— Jezus, Marja, Józefie święty! — mówi Matus sam do siebie. W takim kraju człowiek zginąć może, jak mucha.

Biedził się, łaził i znowu przyszedł do tej samej gospody, gdzie przed chwilą pił piwo i koniak z owym rodakiem. Stanął, drapie się w głowę, a o mało nie zapłacze z desperacji. Pytają go, o co chodzi, ale wszystko po niemiecku. Tak on już zaczyna na migi pokazywać: nadął gębę i brzucha, że niby na kolei żelaznej para tak bucha, a rękami precz pokazywał, jako mu jechać należy i wołał: „Bryma, Bryma!“

Niemcy się tam z niego uśmieli, jednak zrozumieli nareszcie o co chłopu chodzi. Zaraz mu sprowadzili jakiegoś człowieka i Matus za nim poszedł. Jeno się zawinęli i już byli na banhofie, aż się Dzwonko zdziwił, że tak blizko, a trafić nie mógł. Dał temu przewodnikowi za fatygę trojaka, albo, jak Niemcy mówią, dziesięć fenigów. Przetrzeźwiał też już teraz nieco i przyszło mu na myśl, żeby się obmacać, czy ma pod koszulą torbę z papierowemi pieniędzmi. Aż oniemiał, bo torby nie było; pomacał się lepiej raz, drugi i trzeci — nie ma. Rany Boskie! toć to majątek cały, co go wywiózł z kraju!... Cicho się Matus sprawiał w swojem strapieniu, bo uważał, że w takiem zbiegowisku nie ma co lamentu podnosić. Zaraz się puścił, pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł, upatruje, czy gdzie nie leży jego zguba. Wszedł znowu do gospody, w której pił, pokazuje, że zgubił pieniądze; otoczyli go, wypytują, zrozumieli o co idzie, pokazują mu na migi, że go musiał okraść ten nieznajomy, co mu fundował piwo i sznapsa.

Ha, stracił przeszło trzysta rubli, bo za tyle kupił marek u żyda w Brodnicy, a złotem i srebrem miał jeszcze w kieszeni za jakie pięćdziesiąt rubli pruskich pieniędzy. O mało mu się teraz co dziwnego nie stało. Co uszedł kilka kroków, to przystawał, szukał około siebie — w cholewach i wszędzie. Przetrząsał na sobie odzież — nie znalazł. Zgryzł się, zmartwił, aż zzieleniał, chwiał się na nogach. Idzie blady taki jak trup i spotyka po drodze Grzędziankę; ona się wyelegantowała, szła tak spacerem, a w ręce trzymała piernik, co jej go kupił Walek Kuc, i chrupała.

Stanęła, bo chciała widać z Matusem pogadać i pyta:

— Gdzież wy się, Matusie, podziewacie od samego rana?

Dzwonko nic zrazu nie odpowiedział, tylko się zatrzymał chwilę i spojrzał na dziewczynę takiemi strasznemi oczyma, jakby ją chciał nawskróś przewiercić, a potem ze złością okrutną warknął:

— Bodajbyś się ty była nie urodziła na świat, małpo jedna!

Strapiło to Marynę, jako jej jeszcze nikt w życiu nie powiedział takiego złego słowa. O mało nie upuściła z ręki tego piernika, co go trzymała i jadła: ale zniosła to srogie przekleństwo i poszła dalej.

Właśnie też zaczęto ludzi nawoływać, żeby wsiadali; Matus miał już bilet do Bremy dla siebie i dla swoich, więc już pobiegł tylko do baby, krzyknął na nią, żeby się zbierała z dziećmi, zabrał różne pakunki i usadowił się z rodziną swoją, jak mógł. O zgubionych pieniądzach słówka nikomu nie pisnął, tylko się truł sam w sobie.

ROZDZIAŁ VII.

Od Berlina do Bremy.

Posiadali w wagonach różnie, ale w jednym wagonie znaleźli się razem: Grzędzina z Maryną, Głodzikowski z Jagną i resztą dzieci, Walek Kuc, a inni byli obcy ludzie z różnych okolic naszego kraju. Matka Maryny od tego podeptania w Szarlotenburgu, ciągle stękała, narzekała na ból w głowie, na kłócie w piersiach.

— Pewnie ja nie dojadę do tego miejsca, gdzieśmy się wybrali! — mówiła. — Maryś, poślijże też choć na mszę świętą za moją duszę do księdza w Rokitnicy.

Ale Maryna jak mruk siedziała przy matce na zawiniątku z pościelą i nic się nie odzywała.

Asystował jej Walek, zagadywał to i owo — nic mu nie odpowiadała, ścięła jeno usta, jak martwa. Siedział też po drugiej stronie przy niej Głodzikowski, czuć było od niego gorzałkę, tak Grzędzianka odwracała głowę, a on się od czasu do czasu przysuwał ku niej i mówił:

— Kto ta wie, co jeszcze być może?

A nie, to się jej pytał:

— Cóżeś ty, Maryś, tak skiepściała?

I potem wydobywał z kieszeni kapoty flaszkę, podawał ją Grzędziance:

— Posmakuj — rzecze — bo dobra, miętowa...

Dziewczyna odpychała jego rękę, wtedy sobie wkładał szyjkę flaszki w usta i łyknął kilka razy — splunął, schował butelkę i usypiał.

Jagna też z rodzeństwem swojem siedziała na tobołku z pościelą, jeno od Maryny ciągle odwracała głowę, a jak na nią czasem spojrzała, to gorzej jaszczurki. Parno i duszno tam było w wagonie; dzieci napierały się wody, a Jagnie nijako było wyjść, kiedy pociąg przystawał, tak trąca ona ojca i powiada:

— Moglibyście skoczyć, przynieść dzieciom wody.

— Co im tam po wodzie! — rzecze Głodzikowski. — Daj im oto po odrobinie wódki! — Mówiąc to, podał Jagnie flaszkę; ale dziewucha nie przyjęła. Łyknął dobrze sam, aż się zakrztusił, potem wyciągnął przed siebie obie nogi, oparł głowę o ścianę wagonu i zaczął ogromnie chrapać. Spoglądali na niego ci obcy ludzie, uważali, że się upił, i jaki taki robił sobie z chłopa pośmiewisko. Korciło to Jagnę, że ojciec przez swoje pijaństwo śmiech w ludziach budzi, więc sobie jedną ręką przysłoniła oczy i zapłakała w cichości. Nikt tam tego nie uważał, jeno Walek spostrzegł jakoś płacz dziewuchy. Tknęło go to do żywa, tak na jednej stacji pochwycił blaszankę, wybiegł z wagonu i przyniósł dzieciom Głodzikowskiego wody.

Nie spodziewała się po nim Jagna takiej uczynności, bo od tego czasu, jak ją rzucił dla Maryny, tak byli ze sobą, jakby się całkiem nie znali, chociaż ona zawsze dla niego miała serce, ile, że się jej żaden inny zalotnik nie nastręczył. Powiedziała mu za tę wodę „Bóg zapłać“ i zaraz też poczęli ze sobą gwarzyć.

— Czy ty wiesz, kaj my jedziewa? — Pyta się go ona.

— Zkąd mam wiedzieć? Pono po grunta do jakiejść Bryzolji; alem, prawdę mówiąc, nigdy nie zrozumiał, kto to daje i gdzie jest ta Bryzolja. Juści jadę, bo inni jadą.

— To akurat i ja tak samo! — odrzekła Jagna, a potem cichym głosem mówiła: Tatuś oto zmarnowali całe gospodarstwo, sami nie wiedzą, co robią i dokąd się wloką... Oj, jeśli tak nieboszczka matusia patrzy z nieba na to, co się dzieje, dopiero jej się musi serce krajać! — Z temi słowy, Jagna ciężko westchnęła.

Nie wiedział Walek, co ma rzec na te żale dziewczyny, tak zagaduje:

— Będziewa ponoś jechali przez morze, a dwa dni w tej drodze wrząca woda będzie aż kipiała, jeno nam się nic nie stanie, bo znowu z góry deszcz się zimny poleje...

— Miłosierdzie Pańskie! A czyś ty kiedy widział morze?

— Gdzie znowu! Tyla od jednego oryla słyszałem, że morze jest za jakimś Gdańskiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).